

Od autora: Dwuczęściowa opowieść o ludziach i świecie tworzonym przez tychże ludzi.

"Idylla" cz. 1

– Od czego by tu zacząć...

– Najlepiej od początku.

Magiera zawsze umiał poratować dobrą radą.

– To może inaczej – zabrał głos raz jeszcze. – Z czym kojarzy nam się rektor?

– Z niczym – odparłem. – Gruby, kudłaty facet wydarty jakby z epoki.

– No. – Klasnął w dłonie Magiera. – I to jest pomysł. Epizodyczna historia o grubym, włochatym trollu, który wyskoczył ze starego, zakurzonego podręcznika. Możemy przedstawić to w formie komiksu. Frida robi nam ilustracje, a my wypełnimy chmurki dosadnym, infantylnym humorem.

Spojrzelismy obaj na Fridę, która bazgrała coś w swoim notatniku. Nazywaliśmy ją Fridą, bo wciąż malowała, rysowała i szkicowała. Podobno już trzy razy nie przyjęli jej na malarstwo, dlatego postanowiła szlifować talent i umiejętności na wydziale socjologii.

– Co? – zapytała rozkojarzona okularnica.

– Narysujesz karykaturę Banacha – rzekłem.

– Dajcie spokój, chłopcy – odparła Frida. – Ten stary pierdoła nie ma do siebie dystansu. Już raz go rysowałam i co? Mielismy przez to kłopoty.

– Przedstawiłaś go jako wieprza.

– Staralam się podkreślić realizm.

– Świetnie, ale tym razem lepiej, żeby obyło się bez skandalu.

– Czyli, że co?

– Nie rysuj więcej świńskiego ryja.

Zadzwoił telefon. Odebrałem. Usłyszałem zapłakaną matkę, która oznajmiła, że dziadek Edward nie żyje.

– Kotlet jest niedosmażony – powiedziała matka krzątając się po kuchni.

Siedząca przy stole ciotka Aniela westchnęła na to.

– Edek lubił niedosmażone. O której msza?

– O jedenastej – rzekłem.

– Edek wolał chodzić na wpół do ósmą – mówiła ciotka. – Ciekawe czy wszyscy dojadą na czas. Edek lubił punktualność. Właśnie straciłam ukochanego brata. Jakiż to smutny dzień. Chyba się popłaczę.

– Edek nie lubił, kiedy ktoś płakał – rzekła matka.

– Jakie to ma teraz znaczenie, drogie dziecko – odparła ciotka. – Lubił czy nie, już go nie ma. A ty, Michałku – Ciotka spojrzała na mnie. – Jak ci się wiedzie?

– Dziękuję, ciociu – odparłem. – Póki co dużo nauki.

– Trzeba się rozwijać. Tak mówił Edek. Ojej, ale bołą mnie nogi. Nie rozmasowałbyś mi, kochanie, żylaków.

Zadrzałem.

– Czytałem, że nie wolno masować żylaków, bo mogą się rozlać na cały organizm.

– Tak? – zdziwiła się ciocia Aniela. – Popatrz, a Edek zawsze masował. Kto wie czy przez to się nie do-
dyrdał.

Dziadek Edward był niezwykle odpowiedzialnym człowiekiem. Odkąd pamiętam wszystko planował w najdrobniejszych szczegółach. Okazuje się, że nie tylko za życia, ale także po śmierci potrafił zadbać o porządek. Niecałe dwa lata przed odejściem sporządził testament, na mocy którego otrzymałem jego mieszkanie. Kochany dziadek uznał, że mnie lokum przyda się najbardziej.

Dziadek nie zgromadził wielkiego majątku. Jak na kilkadziesiąt lat pracy i dobre zdrowie niemalże do samego końca, żył raczej skromnie. Tuż po śmierci babci zamienił sypialnię na coś przypominającego gabinet. Był w nim tapczan, na którym spał, dwie z czterech ścian zastawiały regały z książkami. Było stare, solidne biurko i szafa. Zarówno szuflady biurka jak i drzwi szafy były zamknięte na amen.

Przetrząsnąłem całe mieszkanie w poszukiwaniu odpowiednich kluczy i nic. Wykonałem telefon do ciotki Anieli w nadziei, że dowiem się czegoś więcej. Niestety, Aniela łkała tylko do słuchawki. Opowiedziała masę różnych bzdur, po czym jak zwykle wspomniała o żylakach. Podziękowałem za rozmowę i rozłączyłem się.

I kiedy tak siedziałem na tapczanie, myśląc, co dalej, ktoś zapukał do drzwi. Poszedłem otworzyć.

Na korytarzu stał mężczyzna w średnim wieku. Nigdy wcześniej go nie widziałem i on mnie także, bo kiedy otworzyłem drzwi, zdziwił się bardzo.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparłem.

Potem mężczyzna zbierał długo myśli, zanim zabrał głos ponownie.

– Rozumiem, że jest pan zastępcą Profesora?

– Nie – rzekłem. – Nie znam żadnego profesora. Znaczący parę kojarzę, ale żadnego nie zastępuję.

– Hm. – Zmarł tamten. – Tak, tak, rozumiem, ale teraz, kiedy pan Keller odszedł, ktoś musi przecież zajmować się naszymi sprawami, prawda?

– Jakimi sprawami?

– No wie pan...

– No nie bardzo.

– Hm. To może ja przyjdę później.

Tajemniczy mężczyzna zszedł piętro niżej i tam zniknął za drzwiami mieszkania należącego do państwa Dziobak. Skonsternowany wróciłem do gabinetu dziadka.

Do późna w nocy rozmyślałem nad tym, jakie tajemnice może kryć gabinet. Nie spodziewałem się żadnej sensacji, ale nie potrafiłem zapanować nad ciekawością. Jeszcze przed zaśnięciem postanowiłem, że wyłamie zamki wytrychem.

Kilkanaście minut po ósmej zbudziło mnie pukanie. Zaspany doczłapałem do drzwi. Okazało się, że dziadek Edward miał wielu znajomych, nad czym zaczynałem coraz bardziej ubolewać.

– Cześć, młody – powiedział na przywitanie brodaty starzec przypominający wyglądem uboższą wersję Seana Connery'ego. – Mogę wejść? Dzięki.

– Mogę wiedzieć, kim pan jest? – spytałem.

– Herod – przedstawił się nieznajomy.

– A ja Barabasz – odparłem.

– Zabawny z ciebie gość. Twój dziadek nie lubił żartować. Albo nie umiał. Piłeś już kawę?

Facet podający się za Heroda wstawił czajnik z wodą na gaz, a na stole rozłożył filiżanki. Wiedział, gdzie szukać kawy, łyżeczek i serwisu. Widać nie pierwszy raz wstąpił na małą czarną.

– Zamierzasz mieszkać tu sam? – spytał.

– Coraz bardziej się waham – rzekłem.

– Chyba masz dziewczynę, co?

– Pan tak na poważnie?

– Niektórzy ludzie w twoim wieku są na tyle mało wymagający, że ignorują różnice między męską dupą, a damską. Pytam, bo chciałbym wiedzieć, z kim zasiadam do jednego stołu. Traktowałem twojego dziad-

ka jak brata.

– Mój dziadek nie żyje.

– Dlatego przychodzę do ciebie. Być może miałeś okazję porozmawiać z sąsiadami. Jeśli nie, na pewno się zgłoszą. Chciałbym, żebyś każdego z nich odsyłał do mnie. Wystarczy powiedzieć, że "tymi" sprawami zajmuje się Herod.

– A jak któryś poleci do Galilei albo do kościoła?

Brodacz uśmiechnął się.

– Znają mnie. Współpracowałem z twoim dziadkiem.

– Czym się zajmowaliście?

– Jeśli powiem, że próbowaliśmy naprawiać świat, uwierzysz?

– Wygląda pan na uczciwego dziwaka.

– Mów mi Herod, proszę. Takie mamy zasady. Chciałbym, żebyś posłuchał chwilę uważnie.

Przez następne kilkanaście minut Herod opowiadał o swojej działalności.

Przeszło ćwierć wieku temu niejaki Olgierd Wroński oraz mój dziadek Edward Keller postanowili, że zrobią coś cholernie wartościowego. W związku z tym obaj zawarli porozumienie, na mocy którego stworzyli i zarządzali małą organizacją.

– Byliście sekciarzami? – spytałem wprost.

– Boże uchowaj. Nie pierzemy ludziom mózgów. To raczej działalność o charakterze obywatelskim.

Nie wiedziałem, co mam myśleć, dlatego słuchałem dalej.

Faktycznym zarządcą kamienicy przy ulicy Ofiar Kapitalizmu była spółdzielnia. Kiedy dziadkowie się tu wprowadzili, a chwilę po nich pan Olgierd Herod Wroński, dużo zaczęło się dziać.

Na początku były to kosmetyczne zmiany polegające na rozpisaniu, kto i kiedy sprząta klatkę schodową. Dziadek uważał, że stała obsada stanowiska dozorczy wpływa negatywnie na aktywność ludzi. Tę opinię podzielał także Herod, dodając od siebie, że mieszkanie pod wspólnym dachem wymaga współpracy i poczucia współodpowiedzialności. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Z czasem mała organizacja rozszerzała obszar swych działań, co nie wszystkim przypadło do gustu.

– Wtedy wszyscy byliśmy na cenzurowanym – mówił Wroński. – Mieliśmy dużo do stracenia, dlatego pracowaliśmy w konspiracji. Skrzydła rozwinęliśmy dopiero po osiemdziesiątym dziewiątym. Oficjalnie zarejestrowaliśmy Idyllę, o której pewnie opowiadał ci Edward.

Rzeczywiście. Przypominałem sobie, że dziadek kierował jakimś klubem, ale zwykle nie mówił wiele na ten temat.

– Właścicielem kamienicy wciąż jest spółdzielnia – kontynuował Herod. – Uzgodniliśmy jednak, że od środka całym przedsięwzięciem zarządzać będziemy my. Jesteśmy aktywni do dzisiaj.

Próbowałem ułożyć w myślach wszystkie fakty. Historia miała sens i chociaż wątpiłem w normalność swojego rozmówcy, czułem, że mówi prawdę. Nadal nie wiedziałem tylko, czego ode mnie chce.

– Mieliście jakąś umowę? – domniemywałem.

– Pisaliśmy sporo, ale nie o umowę chodzi. Gdybyś znalazł przypadkiem jakieś dokumenty, zadzwoń.

Herod przekazał mi swoją wizytówkę.

– Czego mam szukać? – spytałem.

– Niczego. Miej tylko oczy szeroko otwarte.

Wiedziałem już, co należy robić.

Doświadczyłem dziwnego uczucia, gdy w końcu po długim namyśle zajrzałem do dziadkowej szafy. Nie wiedziałem czego się spodziewać. Biorąc pod uwagę wizyty dziwnych gości i zagadkową przeszłość dziadka, oczekiwałem jakiejś rewelacji w rodzaju trupa albo cholera wie czego.

Oprócz ubrań, walizki i butów znalazłem kartonowe pudła skrywające teczki. Każda z teczek była podpisana imieniem i nazwiskiem, czasem samym nazwiskiem lub pseudonimem. Na pierwszy rzut oka

pudła mieściły z pięćdziesiąt nazwisk, do których dołączono sterty maszynopisu, choć, jak później zauważyłem, nie brakowało także zdjęć. Ładny zbiór, pomyślałem, po czym przeszedłem do wertowania dokumentów.

Stwierdziłem, że część ludzi znam i to nawet dobrze. Na przykład Dudziak był sąsiadem dziadka i wpadał czasem na partię szachów. Poczciwy gość, bardzo uprzejmy i energiczny. Zajrzałem do teczki.

Wyglądało na to, że Dudziak prócz szachów lubił także podglądać i podsłuchiwać innych współmieszkańców. Zwłaszcza późnym wieczorem wychodził na klatkę schodową, przystawiał ucho do drzwi Puchalskich, a potem onanizował się finiszując na wycieraczce. Puchalscy byli młodym małżeństwem, wówczas jeszcze bez dzieci, toteż nic dziwnego, że używali życia nocą. Jak widać nie tylko oni na tym korzystali.

Musiałem przyznać, że lektura przygód Dudziaka zrobiła na mnie wrażenie. Ubawiłem się i do tego stopnia straciłem poczucie czasu, że nie pojechałem na uczelnię na pierwsze zajęcia.

Całe przedpołudnie i wieczór upłynęły mi pod znakiem historii z szafy. Ledwie z jednej dziesiątej części wyłowiłem tyle skandali obyczajowych, że z żalem patrzyłem na swoje dotychczasowe nudne życie. Wśród skandalistek prym wiodła niejaka Róża. Nie miałem pewności czy to imię, nazwisko czy też pseudonim. W każdym razie owa Róża miała bardzo bogate życie towarzyskie. Odwiedzali ją mężczyźni w różnym wieku. Raz podobno uwiodła nawet wikariusza. Nie było wiadomo czy rozwiązłość dostarczała w jej przypadku korzyści majątkowych, ale, jeśli wierzyć wersji dziadka, Róża nie należała do biednych kobiet. Obszerną charakterystykę jej osobowości kończyło stwierdzenie, że jeśli stworzenie raju jest możliwe, Róża z pewnością nie powinna być jego częścią.

Słowo raj przewijało się wielokrotnie. Nie tylko w kontekście rozrywkowej Róży. Dziadek wciąż pisał, że ten czy tamta nie pasuje do koncepcji poukładanego świata. Jakby każdą z postaci przykładał do szablonu. Czasem raj zastępował słowem Idylla. Za każdym razem Idyllę zaczynała wielka litera. Rozumiałem schemat, ale nie wiedziałem, po co to wszystko? Czyżby dziadek Edward dzielił ludzi na dobrych i złych?

Żli z pewnością byli Jabłońscy. Każdy członek trzyosobowej rodziny zajmował osobną teczkę. Głowa rodu, Maciej, choć człowiek wyjątkowo pracowity, miał ogromną słabość do wódki. Podobnie zresztą jak jego małżonka, która w równym stopniu co drinki, uwielbiała mężczyzn dosiadających się do niej podczas samotnych wieczorów przy barze. Takie relacje dziadek określał mianem nowoczesnego małżeństwa, gdzie każdy robił, na co miał ochotę za przyzwoleniem współmałżonka.

Najgorzej jednak, nawet na tle tak beznadziejnej rodziny, wypadła najmłodsza Diana. Jako pyskata, rozwdrzona i często bezczelna nastolatka stanowiła dla spokojnego i analitycznego dziadka wzorcowy przykład współczesnego społeczeństwa młodych ludzi. Pomimo skrajnie negatywnej opinii, dziadek nie obarczał małej Jabłońskiej żadną winą. Odpowiedzialność zrzucił na kiepskich rodziców, a Diane nawet współczuł. Co do jednego był pewien, żadne z Jabłońskich nie pasowało do Idylli.

Po lekturze przyszła mi do głowy pewna myśl. Musiałem coś sprawdzić. W tym celu wyszedłem na zewnątrz. Przejechałem palcem po nazwiskach lokatorów, które rozpisano na domofonie. Jabłońscy byli wykreśleni.

Po powrocie przejrzałem kolejne pudła. Wyszukałem teczkę wszystkich aktualnie mieszkających lokatorów przy ulicy Ofiar Kapitalizmu i odłożyłem je na jedną stronę szafy. Resztę umieściłem po drugiej.

Tak mnie pochłonęła zawartość szafy, że zapomniałem całkiem o biurku. Był już późny wieczór, kiedy wyłamałem zamki w obydwu szufladach. Tym razem nie znalazłem nic specjalnego. Był stary zegarek, łańcuszek i medalik z Matką Boską, przybory biurowe i mnóstwo listów napisanych w trakcie pobytu w wojsku. Był także notatnik z telefonami i adresami. Co ciekawe przy kilku osobach widniał adres Ofiar Kapitalizmu, tyle że numer był inny. Dziadek chyba nie miał aż tak poważnych problemów ze zdrowiem, by nie spamiętać garstki sąsiadów. W sumie wypunktował pięć osób; Wrońskiego, Niedzielaka, Zalewskiego, Szweda i Gawrona. Przy każdym z nazwisk widniała ulica i kolejno numer od dwa do sześć.

Dziadek mieszkał w "jedynce".

Przewertowałem notatnik w poszukiwaniu kolejnych informacji. Niewiele jednak wyciągnąłem. Wbrew uporządkowanemu życiu notatki sporządzono bardzo chaotycznie jak w brudnopisie. Z kolażu słów, haseł i krótkich zdań wydobyłem jedno, które, jak sądziłem, pozwoli ustalić nieco więcej szczegółów. Zdanie owo brzmiało: "Spotkanie w każdy czwartek o osiemnastej w Stokrotce".

– Narysujmy Banacha w radzieckim mundurze z jakimiś pedalskimi wstawkami – zaproponowałem podczas spotkania na uczelni.

– Dlaczego? – spytał Magiera.

– Ty tak na serio?

– Dlaczego chcesz go przebrać za komucha? – powtórzył Magiera.

– Bo ma na imię Konstanty.

– Co z tego?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Spojrzałem na Fridę, a ta odparła:

– Magiera nie zna marszałka Rokossowskiego, bo nie było go w nowym GTA. Mnie ten pomysł się podoba. Na jutro przygotuję szkic.

– I dobra – rzekłem, po czym zwróciłem się ponownie do Magiery: – Co myślisz?

– Pasuje – zgodził się tamten. – W końcu przestaniemy strząsać chujem gruchy i weźmiemy się do roboty.

Frida przewróciła oczami.

– Która godzina? – spytałem.

– Dziesięć po piątej – powiedział Magiera.

– Będę leciał, mam jeszcze coś do załatwienia. Do jutra.

"Stokrotka" była jednym z centralnych punktów na naszym osiedlu. Odkąd pamiętam ludzie chętnie prześiadali pod parasolami, które wystawiano latem przed lokal. Dziś było tu znacznie mniej spokojnie ze względu na bliskie sąsiedztwo dyskontu spożywczego.

Obserwowałem kawiarnię z naprzeciwka tak, by widzieć wszystkich wchodzących do środka. Małe prawdopodobieństwo, że notatka była wciąż aktualna, ale wolałem sprawdzić to jak najszybciej. W przeciwnym wypadku musiałbym czekać do następnego czwartku.

Kilka minut przed osiemną pojawił się Wroński. Herod przemaszerował spokojnie chodnikiem i zanim wszedł do kawiarni, przywitał się z paroma chłopakami, którzy odpoczywali pod parasolem. Dla pewności odczekałem kilka minut, po czym zbliżyłem się niemal pod same drzwi.

Heroda wypatrzyłem ponownie przy okrągłym stoliku pod ścianą. Towarzyszyli mu starsi ludzie. Twarze wyglądały znajomo, ale nie potrafiłem przyporządkować żadnej nazwiska. W sumie stolik zajmowało pięciu mężczyzn i kobieta. Rozejrzałem się po wnętrzu i aby nie wzbudzać sensacji, podeszedłem do lady. Zamówiłem sok pomarańczowy, który szybko wypilem, a potem opuściłem lokal.

Wieczorem tradycyjnie przeglądałem kolejne "życiorysy". Przyszło mi wówczas do głowy, że sprawa teczek jest bardzo podejrzana. Doskonale pamiętam, że dziadek od zawsze pogardzał ludźmi, którzy nie potrafili uszanować prywatności. Unikał wścibskich łowców skandali, a prywatnie sam chwycił się za najpodlejsze metody inwigilacji...? To brzmiało wyjątkowo nielogicznie. No dobrze, a nawet jeśli, dlaczego nie zadbał o usunięcie dowodów? Z pewnością śmierć nastąpiła, jak to bywa, w nieoczekiwanym momencie. Nie zmienia to jednak faktu, że ukrywanie tajnych zapisków w słabo strzeżonej szafie nie jest najlepszym pomysłem.

Dziadek zmarł na skutek ataku serca. Znalaziono go nad ranem leżącego twarzą do podłogi niedaleko swojego ulubionego fotela. Najprawdopodobniej w chwili zawału trzymał się na nogach, a potem upadł. Miałem coraz więcej wątpliwości, których nie potrafiłem rozwiązać.

Testament sporządzono przeszło trzy lata temu. Dziadek wówczas jeszcze nie chorował, a przynajmniej nic o tym nie wiedzieliśmy. Mógł podejrzewać co nieco, ale któż zna datę swojej śmierci...? Było w tym wszystkim coś zagadkowego i niepokojącego.

Zbudziłem się w środku nocy obłożony papierami. Poszedłem do kuchni, by wypić szklankę zimnego mleka. Wiedziałem, że popadam stopniowo w manię, krążąc myślami od jednej teczki do drugiej.

– Dzień dobry panom – przywitałem się. – Jestem Michał Keller i chciałem pogadać. Pana Wrońskiego już znam. A może powinienem nazywać pana Herodem? Wszyscy macie pseudonimy?

Piątka mężczyzn siedzących przy stoliku w "Stokrotce" patrzyła na mnie jak na wariata. Długo nikt nie mówił. Widać zatkało ich. I dobrze, pomyślałem.

– Co on chce? – zapytał staruszek zajmujący miejsce po prawicy Heroda.

– Imponujące wejście – przemówił Wroński. Później zwrócił się do swoich kompanów: – Poznajcie, chłopcy, najmłodszego z Kellerów. No siadaj, młody. Chyba nie zamierzasz zaciągać warty.

Ze stolika obok zabrałem krzesło. Kiedy się dosiadłem, Herod mówił dalej:

– Miło, że wpadłeś. Masz coś dla mnie?

– Tak – odparłem. – Kilka pytań. Zaczniemy od tego czy komuś z was śmierć mojego dziadka nie wydaje się dziwna?

– Ktoś umarł? – spytał znowu siedzący po prawej ręce Wrońskiego starzec.

Facet był najwyraźniej głuchy, ale wszyscy to ignorowali.

– Śmierć jak śmierć – rzekł inny staruszek, po czym ulizał sobie włosy na czubku głowy.

– Powiem wprost, panowie – zabrałem głos jeszcze raz. – W szafie znalazłem sporo papieru i myślę, że wiecie co nieco. W notatniku widnieją wasze nazwiska i adresy. Chcę usłyszeć, co jest grane?

– Najpierw się napijemy – oświadczył Wroński. Ruchem ręki przywołał barmankę, która przyniosła pół litra wódki i kieliszki. – Życie nauczyło mnie, że woda łagodzi obyczaje. – Rozlał wszystkim alkohol, po czym wznosił toast: – Pan z nami.

– I chuj z nimi – odrzekli chóralnie koledzy Wrońskiego.

– Jak wspominasz dziadka? – spytał mnie Herod.

– Serio to pana interesuje?

– Bo widzisz, młody, nie zawsze znamy ludzi. Czasem tylko tak nam się wydaje.

– Pytam o teczki, które znalazłem w szafie.

– Czyli coś jednak dla mnie masz.

– Nie są podpisane przez pana.

– Z pewnością. Twojego dziadka, mnie oraz tych dżentelmenów łączy pewien układ, o którym co nieco ci wspomniałem.

– Mój dziadek nie żyje.

– Ale nasz układ trwa nadal. Lepiej będzie, jeśli przekażesz nam wszystkie dokumenty.

Spojrzałem na Heroda i pozostałych.

– Wy też macie pełne szafy papierów, prawda?

Nikt nie odpowiedział.

– Po cholerę wam to? – naciskałem. – Jesteście komuchami czy po prostu lubicie donosicielstwo? A może nikt wam nie powiedział o Wałęsie i "Solidarności"?

– Powstrzymajmy nerwy na wodzy – rzekł Herod. – Zrobimy tak. Przyjdiesz do mnie jutro z dokumentami, to pogadamy. Masz mój adres. Umowa stoi?

Wstałem od stołu.

– Przyjdę – potwierdziłem. – Ale bez papierów.

Oczywistym było, że jeśli chcę poznać prawdę, nie mogę o nią pytać ani Heroda, ani żadnych z jego

kumpli. Problem polegał na tym, że jeśli faktycznie istniał jakiś układ, nikt z zewnątrz nie mógł znać szczegółów. Nagle przypomniałem sobie, że przecież w "Stokrotce", gdy byłem tam po raz pierwszy, widziałem kobietę. Dziś jej nie spotkałem, ale przecież nie zapadła się pod ziemię. Z zamyślenia wyrwał mnie głos Fridy:

- Słyszałeś już nowiny?
- Co? – spytałem.
- Nie opublikują naszego komiksu – wyjaśniła dziewczyna.
- Jak to?
- Ktoś nas podobno zablokował.
- Bzdura. Co to kogo obchodzi.
- Idź zapytaj w drukarni.

Wstałem. Już zbierałem się do wyjścia, gdy Frida zapytała:

- Co robisz?
- Idę pogadać z drukarzem – odparłem.
- Serio, Keller, jesteś aż tak głupi? Przecież nawet Magiera domyśliłby się, że za wszystkim stoi Banach.
- Akurat. Co mu do tego?
- Nie wiem, ale z jakiegoś powodu stary wziął się na nas. Nie rób scen.

Mimo wszystko udałem się do drukarni, by pogadać z człowiekiem odpowiedzialnym za taki obrót spraw.

- Co z naszym komiksem? – spytałem wprost drukarza, który wertował plik jeszcze ciepłych kartek.
- Z jakim komiksem? – odparł nie zwracając na mnie uwagi.
- Masz tyle zleceń, że wszystkie ci się pierdolą, co?
- No, no, uważaj, gnojku, na słowa.
- Zawsze strzelasz z ucha Banachowi?
- Wynocha, póki mam cierpliwość.
- Wyjdę, ale najpierw oddawaj naszą pracę.
- Poszukaj, gdzieś tu leży.
- Wiem nawet na którym biurku.
- Weź ty się ode mnie odpierdol.
- Jeszcze się zobaczymy, chuju.

Wykonałem gest, który miał oznaczać, że będę gnojka obserwował. On natomiast popukał się palcem w czoło.

Barmanka w "Stokrotce" była na tyle uprzejma i wygadana, że opowiedziała mi mnóstwo rzeczy na temat swojej klienteli. Wystarczyło wspomnieć, że nazywam się Keller i jestem wnukiem słynnego Edwarda. W większości sensacje, jakimi mnie raczyła, ograniczały się do stwierdzeń w stylu; tamtemu człowiekowi zmarła żona, z którą przychodził na kawę. Teraz zamawia jedną filiżankę mniej. To smutne jak cholera, aż serce boli i tak dalej. Znała wszystkich i o każdym potrafiła coś powiedzieć.

- Twój dziadek uwielbiał gorącą czekoladę, ale nie nadużywał jej – oznajmiła. – Może masz ochotę na kubeczek?
- Chętnie – odparłem. – Pani Jolu, bo widzi Pani tutaj właśnie chodzi o mojego dziadka. Jak już wspominałem wprowadziłem się nie tak dawno i wszystkich jeszcze nie poznałem. W mieszkaniu dziadka znalazłem coś, co wiem, że chciałby przekazać pewnej osobie, tylko jest mały problem.
- Jaki? – zainteresowała się kobieta.
- Nie mam pojęcia, jak odnaleźć adresatkę wiadomości.
- Chodzi o list?
- Powiem pani, ale tak między nami. Owszem. List i to bardzo osobisty.

Mrugnąłem okiem do barmanki, na co ona uśmiechnęła się. Potem zapytała:

- Co wiesz o tej kobiecie?
 - Niewiele. Właściwie widziałem ją dwa razy w życiu. Raz, kiedy pokazał mi ją dziadek i drugi kilka dni temu. Siedziała z panem Wrońskim i resztą.
 - No to jesteśmy w domu, chłopcze. Chodzi o panią Barbarę. Jeśli mam być szczerą, od razu podejrzewałam ją i twojego dziadka o... no wiesz.
 - Serio? Jestem w szoku.
 - Dam ci jej adres, tylko nie zdradź mnie.
- Jolanta nabazgrała adres na kartce wyrwanej z kieszonkowego kalendarza.
- Nie wiem, jak mam pani dziękować – rzekłem odbierając karteczkę. – Mogę coś dla pani zrobić.
 - Jasne, opowiesz mi, co się wydarzyło i jak zareagowała, hm?
 - Słowo harcerza.

- Dzień dobry – przywitałem się ze starszą kobietą, która otworzyła mi drzwi. – Jestem Michał Keller...
- Wiem – przerwała mi pani Zelman. Potem uśmiechnęła się dobrotliwie i nakazała wejść do środka. Nie wyglądała na zaskoczoną z powodu tej wizyty, jakby spodziewała się jej od dłuższego czasu. Jak na swój wiek była całkiem energiczną kobietą. Kursowała co chwilę między pokojem gościnnym a kuchnią, dostawiając na stolik ciastka, serwis kawowy i serwetki.
- Ładne tulipany – pochwaliłem.
- Dziękuję. Wyhodował je Palacz... – Staruszka zamilkła, po czym z zakłopotaniem dodała: – Mój znajomy. Często się szarlotką.
- Długo znała pani mojego dziadka? – spytałem, zającąc słodycze.
- Długo – odparła Zelman. – Z pewnością wiesz, jak wszyscy szanowali Edwarda.
- Owszem. Był dobrym człowiekiem.
- Doznałam szoku na wieść o jego śmierci.
- No właśnie – rzekłem. – Czy dziadek miał jakichś wrogów według pani?
- Co masz na myśli?
- Może ktoś zyczył mu źle...

Zdziwiła się. Zresztą to zrozumiałe, wszak sytuacja nie należała do najłatwiejszych. Pytanie wprost o domniemanego mordercę dziadka odpadało, wszak nie chciałem denerwować rozmówczyni. Musiałem ją jednak jakoś naprowadzić. Ale powoli.

- Chciałbym usłyszeć coś na temat Idylli – rzekłem.

Staruszka zadumała się, po czym odparła:

- To coś w rodzaju wspólnoty mieszkaniowej. Założyli ją Edward i Olgierd Wroński.
- Oprócz nich jest jeszcze czterech, powiedzmy, kierowników.
- Zgadza się. Każdy ma swój rewir.
- Mają pewnie skarbnika, sekretarza i sprzątaczkę. Pani Barbaro, ja to wszystko wiem. Pytam raczej o działalność wspólnoty.
- Niewiele mam do powiedzenia. Nie jestem aktywną działaczką.
- Wroński, mój dziadek i reszta zbierali na swoich sąsiadów kwity. Ktoś nie zdążył wyprowadzić psa, tamten splunął na schody albo nie wytarł butów, a jeszcze inny wykręcał żarówkę. Znam wiele takich incydentów. Zastanawiam się, po co mojemu dziadkowi zabawa w kronikarza i czy przypadkiem nie oberwał za to?
- To raczej mało prawdopodobne.
- Wroński twierdzi, że o teczkach wiedzieli wszyscy, ale nie każdy podchodził do sprawy poważnie.
- Z tego co wiem Edward umarł na zawał.
- I lepiej, żeby tak było.

Staruszka podeszła do okna. Znowu popadła w zadumę.

– Czyli nic pani nie przychodzi do głowy? – zapytałem.

– Przykro mi – odparła kobieta.

– Dziękuję za szarlotkę i herbatę.

– Przychodzi mi na myśl tylko Drzyzga.

– Słucham?

– Mieszkał kiedyś w rewirze Edwarda. Był strasznym człowiekiem. Mściwym i bardzo agresywnym.

Usiłowałem przywołać w pamięci nazwiska ludzi z teczek. Możliwe, że Drzyzga krył się pod jakimś pseudonimem. Trzeba to sprawdzić.

– Dobrze – powiedziałem. – Bardzo mi pani pomogła. Jeszcze raz dziękuję i do zobaczenia.

– Do widzenia.

Wygląda na to, że najważniejsze decyzje w całym przedsięwzięciu podejmowali Wroński i mój dziadek. Możliwe, że pozostali mieli, jak to określiła pani Barbara, swoje rewiry, ale systemem owych rewirów musiał ktoś zarządzać. Być może "centrum dowodzenia" mieściło się w mieszkaniu mojego dziadka, a może Wrońskiego. Trudno powiedzieć.

Odnalazłem dokumentację Drzyzgi w jednym z kartonów. Pamiętam, żeteczka ta już trafiła w moje ręce, ale nie przeglądałem jej dokładnie. Czas nadrobić zaległości.

Zygmunt Drzyzga zamieszkały przy ulicy Ofiar Kapitalizmu 1/22. Człowiek stwarzający zagrożenie sam dla siebie, jak również dla bliskiego otoczenia. Z pozoru spokojny, mrukliwy, unikający towarzystwa innych. Plan dnia wypełnia rutynowo. Wyjście do pracy pół godziny przed ósmą, powrót po szesnastej prosto do domu. Z wykształcenia i zawodu elektryk. Najprawdopodobniej nie miał żadnych nałogów.

Jak przystało na wzorowego obywatela Drzyzga był żonaty i dorobił się dwójki dzieci. Na temat małżonki Zygmunta, Aliny, ustalić można niewiele. Raczej niewidoczna kobieta zajmująca się domem i dziećmi. Dziadek bezskutecznie próbował zająć ją kilkukrotnie rozmową. Stwarzała zwykle wrażenie przestraszonej. O dzieciakach także niewiele wiadomo.

Dziadek, jako człowiek rozsądny, wiedział, że cisza za ścianami sąsiadów nie musi wcale oznaczać względnego spokoju. Konieczne było przyparcie do muru introwertycznej Aliny, ale w tym przypadku o pomoc zwrócił się do pani Barbary. Kobieta, która poczęstowała mnie szarlotką, ustaliła, z kim tak naprawdę mają do czynienia. Okazało się, że Drzyzga jest chorobliwie zazdrosny o swoją małżonkę. Wszelkie niepokojące go znaki odczytywał jako dowód zdrady. Alina nigdy nie krzyczała pod wpływem bólu, ale ślady na ciele wskazywały, że doświadczała nie tylko psychicznej przemocy.

Według teorii Zygmunta, spokojnego elektryka wolnego od nałogów, problem z wiernością u kobiet związany jest przede wszystkim z niepohamowaną żądzą, dlatego też regularnie zaspokajał swoją małżonkę, przeważnie wbrew jej woli. Z czasem okazało się jednak, że narastające w nim frustracje rzutują na potencję. To pogłębiło obawy Drzyzgi, który postanowił dbać o wierność małżonki przy pomocy różnych przedmiotów. Wszystkie starania były jednak niczym w porównaniu z wielkimi obawami. Zygmunt w końcu zaczął grozić, że pewnego dnia wywiezie dzieci i utopi oboje albo powiesi na gałęzi.

W opisie, który niewątpliwie sporządził dziadek, brakowało podsumowania. Być może w przypadku tak wykolejonego człowieka jak Drzyzga nie trzeba silić się na oczywiste stwierdzenia. Pewne jest, że sfrustrowany elektryk opuścił blok przy ulicy Ofiar Kapitalizmu. Teraz należało go odnaleźć.

– Miło cię widzieć, młody – powiedział Herod. – Zapraszam.

Wszedłem do środka. Mieszkanie było nieźle urządzone. Meble wyglądały na wartościowe antyki. W salonie, do którego przeszliśmy, wisiało wiele obrazów. Widać facet lubił bogactwo.

– Spóźniłeś się – rzekł znowu Herod. Potem uśmiechnął się i dodał: – Ale tylko o kilka dni.

Kiedy usiedliśmy przy stoliku w salonie, od razu przeszedłem do sedna.

- Dam panu dokumenty, pod jednym warunkiem.
- Zamieniam się w słuch.
- Muszę odnaleźć Zygmunta Drzyzgę.
- No tak, tylko po co?
- To już moja sprawa.
- Myślisz, że Zygmunt zabił Edwarda? Mało prawdopodobne, choć nie wykluczone.
- Pomoże mi pan czy nie?
- Chodźmy. Trzeba rozpytać chłopaków.

Pierwszą osobą, do której poszliśmy, był Edmund Zalewski.

- Cześć, Pedro – powiedział na przywitanie Herod.

Mężczyzna z wysokim czołem i czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu zdziwił się nieco, ale nakazał nam wejść do środka.

- Nie spodziewałem się was o tej porze – przyznał, wiążąc pas przy szlafroku.
- Brandzlowałeś się? – zapytał Herod. – Wyłysiejesz od tego całkiem. I nie śpij, kurwa, do południa.
- Pójdę do kibla, a wy zróbcie sobie kawę.
- Piliśmy już.

- To usiądźcie na dupie i dajcie mi się w spokoju odlać.

Gdy Pedro powrócił z łazienki, wyglądał na zmęczonego.

- Czasem czuję, jakbym sikał żyłkami albo tłuczonym szkłem – wyznał.
- Idź w końcu do lekarza – poradził Wroński.
- Mój zięć jest lekarzem. Nie lubię bydlaka. Co was sprowadza?
- Chcieliśmy prosić o pomoc – rzekłem. – Szukamy Zygmunta Drzyzgi.
- Pogięło cię, synku? – odparł Pedro. – Masz za dużo wolnego czasu, że trwonisz go na poszukiwania takiej mendi? Mam nadzieję, że skurwiel jest w piekle, albo, że chociaż zezarły go robaki.
- Wie pan, gdzie można go znaleźć? – spytałem.
- Nie wiem, ale słyszałem, że wnuczka Chemika chodzi do jednej szkoły z małym Drzyzgą. Może on coś wie.

Chemikiem nazywano Stefana Niedzielaka, bardzo spokojnego staruszka, który miał fioła na punkcie czystości. Zużywał mnóstwo detergentów, mydła i innych środków rozsiewających dokoła woń chemikaliów.

Kiedy zapraszał nas do swojego mieszkania, nakazał bardzo dokładnie wytrzeć buty o wycieraczkę, którą posypał jakimś proszkiem.

- Znowu wszystko będzie śmierdziało tą twoją pomadą – rzekł Chemik do Zalewskiego, który postanowił iść z nami.
- Chrzań się – odparł Pedro. Przejechał dłonią po swojej głowie. – To specjalna receptura. Pracowałem nad nią kilka lat i proszę. Tylko moja pomada nabłyszcza włosy, ale nie skręca ich. Nie jak te pierdolone gówna w kolorowych pudełkach z supermarketu. Świnie niech tym smarują, kurwa mać.
- Stefan, zamknij drzwi! – krzyknęła z sypialni pani Niedzielak.

Chemik posłusznie wykonał polecenie małżonki.

- Jak ona się czuje? – spytał Herod.
- W porządku, poza tym, że jest strasznie marudna – odparł Chemik.

Aby nie tracić czasu wyjaśniliśmy Niedzielakowi, w jakiej sprawie przyszliśmy. Ten zaś, jako człowiek uprzejmy, zaoferował swoją pomoc.

Kilka godzin później czekaliśmy pod szkołą. Wnuczka Chemika sprawdziła rozkład zajęć klasy Janka Drzyzgi. Jeśli dzieciak nie wagarował, równo o szesnastej powinien opuścić budynek gimnazjum. Niestety nic z tego nie wyszło.

Wnuczka Chemika podsunęła nam jeszcze pomysł, abyśmy poszukali chłopaka za garażami nieopodal sz-

koły, gdzie gówniarze często chodzili na papierosa. Tak też zrobiliśmy.

– Skąd będziemy wiedzieli, który to? – Zastanawiałem się.

– Zapytamy – odparł Pedro.

On też w największym stopniu zaangażował się w całą akcję.

– Stańcie z drugiej strony, gdyby chciał spierdalać – nakazał Pedro, po czym sam podszedł do grupy gimnazjalistów ustawionych w kółku. Wyjął portfel z kieszeni i pokazał wszystkim legitymację.

– Cześć, chłopaki – rzekł. – Który z was to Janek Drzyzga?

– A pan w jakiej sprawie? – spytał jeden z gówniarzy.

– A chuj cię to obchodzi, synku. Dawać legitymacje, tylko szybko, bo zawiniemy wszystkich i będziecie mieli przejebane. Potrzebne wam to?

Chłopcy przekazali dokumenty. Jedna z legitymacji należała do Drzyzgi. Zalewski przyjrzał się najpierw zdjęciu, potem rzucił okiem na stojącego przed sobą młodzieńca z czapką z daszkiem na głowie.

– No i znalazła się zguba – rzekł starszy mężczyzna. – Co ty, Jasiu, nic nie mówisz? Przecież to ciebie szukam.

– Ale ja nic nie zrobiłem – odparł młody Drzyzga.

– I twoje, kurwa, szczęście, chłopaku. Bo jakbyś zrobił, inaczej byśmy gadali. Pożegnaj się z kolegami i chodź.

– Ale gdzie?

– Niespodzianka. Aha, a wy nie palcie więcej papierosów, bo pozdychacie, zanim wam wąsy urosną. Zrozumiano? No, to trzymajcie się.

Okazało się, że Janek był bardziej pyskаты, niż sądziliśmy. Na początku nie chciał w ogóle mówić. Chyba zorientował się, że nie jesteśmy z Policji. Przede wszystkim naciskał na niego Pedro, który wczuł się w rolę.

– Jasiu, synu. Czyś ty, kurwa, zdurniał? Chcesz zarobić w czapkę, zanim zasłużysz? No po co ci to?

– Nie będę z wami gadał i gówno mi możecie zrobić – odgrażał się chłopak.

– Jesteś wierzący?

– W co?

Pedro spojrzał na nas.

– Chyba mu jebnę. Ukręcę, kurwa jego mać, wora! Chemik, kręc mu wora jak za starych, dobrych czasów.

– Zgłupiałeś? – odparł Chemik. – Ręce już nie te. Mam reumatyzm.

– Chuj kładę na twój reumatyzm! – krzyczał Pedro. Potem uderzył Janka w twarz. – Mówże, śmieciu mały, pókim dobry!

Sytuację opanował Herod, który najpierw odciągnął na bok wściekłego Zalewskiego, a potem zajął się dzieciakiem.

– Słuchaj, Jasiu. Nic nie zrobiłeś i nie ciebie tu chcemy. Szukamy twojego ojca. Wiesz gdzie może być?

– Wiem – odparł chłopak.

– Słuchamy.

– Na cmentarzu.

– Łże gówniarz jeden – wtrącił Pedro. – W życiu nie widziałem nekrologu tego skurwysyna, a przeglądam często.

– Zrób mi tę przyjemność, Pedro, i przestań pierdolić. Który to cmentarz, chłopcze?

– Komunalny.

– Zaprowadzisz nas tam? Potem możesz odejść i nikt nie będzie cię niepokoił.

Musiałem przyznać, że Herod zrobił na mnie wrażenie. Pedro próbował wyjaśnić to racjonalnie.

– Tak naprawdę to ja odwalilem większość roboty – mówił do mnie, gdy szliśmy na cmentarz. – Byłem złym gliną, a Herod tym dobrym. Złamałem gnojka, jak trzeba. Ucz się, młody. Kiedyś może ci się przy-

dać.

Gdy wreszcie dotarliśmy do miejsca pochówku Drzyzgi, wszystko było jasne. Facet zmarł przeszło siedem lat temu, a więc nie był w stanie zagrozić ani żonie, ani dzieciom, ani mojemu dziadkowi.

Pedro przyjrzał się jeszcze pomnikowemu zdjęciu, po czym stwierdził:

– Tak, to nasz skurwysyn.

– Jasiu – rzekł do chłopaka Herod. – Jesteś dobry chłopak. Nie spierdol tego.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 10.05.2016 19:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.